

„NEGATYWNIE USTOSUNKOWANI DO OBECNEJ RZECZYWISTOŚCI”

DZIAŁALNOŚĆ OPOZYCYJNA STUDENTÓW KUL W LATACH 1982–1987

Zdawaliśmy na KUL pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego. Większość z nas z pewnością świadomie wybrała to miejsce, jako swoisty azyl wolnej myśli i możliwości nieskrępowanego rozwoju. Już w październiku 1982 r., kiedy zaczynał się nasz pierwszy rok akademicki, okazało się, że jak wielu ośrodków w Polsce pochodzimy.

Kolegów z Lublina było zaledwie kilku na ponad siedemdziesięcioosobowy skład całego roku. Wiele osób wywodziło się z małych miasteczek i wsi, bo wbrew oficjalnej doktrynie władz państwowych, gdy chodzi o pochodzenie studentów, to KUL był najbardziej chłopską uczelnią w Polsce. U nas na roku byli też jednak ludzie z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Szczecina, Bydgoszczy i oczywiście Gdańska. Jeśli chodzi o nasze zaangażowanie opozycyjne, trzeba wyróżnić kilka pół różnej aktywności, zróżnicowanej także w poszczególnych latach.

Manifestacje

Lata 1982–1983, czyli okres trwającego jeszcze stanu wojennego, to głównie manifestacje uliczne. W miesiąc po rozpoczęciu przez nas studiów na KUL, w święto Niepodległości Polski, 11 listopada 1982 r., pod pomnikiem Konstytucji 3 Maja na pl. Litewskim doszło do manifestacji patriotycznej. W wyniku interwencji SB i MO aresztowani zostali m.in. studenci naszej uczelni – Jarosław Bugaj (z pierwszego roku historii) i Marek Pilarek (z pierwszego roku prawa). Po odsiadce 48 godzin i skazaniu przez kolegium ds. wykroczeń zwolniono ich do domu. Obaj byli mieszkańcami Akademika Męskiego KUL przy ul. Sławińskiego 8 (obecnie ul. Niecała).

Trzeba podkreślić rolę tego miejsca w kształtowaniu środowiska opozycyjnego KUL. Tylko z naszego rocznika historii mieszkało tu siedemnastu studentów. Oczywiście, w pokojach nie obowiązywał podział na kierunki czy wydziały, co jeszcze bardziej sprzyjało wymianie doświadczeń opozycyjnych. Ja mieszkałem przez trzy lata wspólnie z Piotrem Adamowiczem oraz kolejnymi trzema, a potem dwoma kolegami. Adamowicz trafił na egzaminy wstępne na KUL prosto z ośrodka dla internowanych. Po zdanych egzaminach wrócił do miejsca odosobnienia i dopiero 10 sierpnia 1982 r. został zwolniony do domu.

Przed studiami nie znaliśmy się, ale słyszeliśmy o sobie w środowisku kościoła św. Brygidy w Gdańsku. Piotr był przez kilka lat ministrantem ks. Henryka Jankowskiego i w tej roli pojawił się w czasie strajków w Sierpniu '80 w Stoczni Gdańskiej przy odprawianiu Mszy św. przez proboszcza św. Brygidy. Ja natomiast dobrze znałem ówczesnego wikariusza tego kościoła, ks. Mieczysława Adamczyka. Jadąc więc w październiku 1982 r. do Lublina, wiedzieliśmy o sobie, że dobrze byłoby się poszukać i poznać – tak doszło do wspólnego zamieszkania w akademiku.

Innym z lokatorów tego domu był Tadeusz Nowak, podobnie jak my student pierwszego roku historii, wcześniej działacz Biura Interwencji „S” w Gdańsku, a w 1970 r. członek Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdynia, starszy od nas o dziesięć lat. To wraz z nim i innym kolegą z naszego roku – Rafałem Sadowskim, pochodzącym z Torunia, działaczem struktur podziemnych tamtego środowiska – postanowiliśmy w maju 1983 r. pojechać na kontrmanifestację pierwszomajową w Warszawie. Dlaczego podjęliśmy taki krok? Lublin wydawał się nam za spokojny, za mało buntowniczy. Przyzwyczajeni do środowisk Gdańska i Torunia, chcieliśmy uczestniczyć w czymś ważnym w stolicy, gdzie regularnie dochodziło do antykomunistycznych wystąpień. Do Warszawy pojechaliśmy z Lublina rannym pociągiem. Faktycznie w stolicy

doszło do potężnej antykomunistycznej kontrmanifestacji, z którą ZOMO walczyło bardzo radykalnymi środkami. W pewnym momencie znaleźliśmy się w kotle w rejonie Domów Centrum. Otoczyły nas przeważające siły ZOMO. Zostaliśmy trochę poturbowani pałkami milicyjnymi, następnie wtłoczeni do tzw. suk milicyjnych i wywiezieni do komisariatu przy ulicy Cyryla i Metodego na warszawskiej Pradze. Potem dowiedzieliśmy się, że komisariat ten cieszy się opinią najgorszego i najbardziej represyjnego w stolicy. Tam nas osadzono w areszcie, tzw. dołku, przy czym zostaliśmy rozdzieleni, każdy do innej celi. W trakcie odsiadki byłem wzywany na przesłuchanie. Przesłuchujący mnie esbek w cywilu wiele o mnie wiedział. Zaczął namawiać do współpracy, szantażując, że ojca – znajdującego się na rencie oficera LWP – pozbawią renty, a matkę – pracującą wówczas w księgowości wojskowej – wyrzucą z pracy. Udawałem naiwnego, twierdząc, że wspólnie z kolegami z KUL przyjechaliśmy do Warszawy, żeby zobaczyć oficjalną manifestację pierwszomajową, ponieważ nigdy jej nie widzieliśmy.

– A o planowanej kontrmanifestacji nie wiedzieliście? – spytał esbek.

– Wiedzieliśmy, bo w oficjalnych wiadomościach o tym mówiono, więc też byliśmy ciekawi, jak to będzie wyglądać – odpowiedziałem.

Trochę mnie jeszcze postraszył, że na pewno nie skończę studiów, bo rodziny nie będzie stać na utrzymanie mnie itd. I w końcu zwolnił „na dołek”. Po około 48 godzinach i dwóch



Fot. ze zbiorów autora

Od lewej: Adam Hlebowicz (redaktor „Variów”) i Witold Suder, autor „Variów”

nocach spędzonych w areszcie wywołano mnie z celi i wraz z innymi osobami, których wcześniej nie znałem, gdzieś wywieziono. Trafiliśmy przed Kolegium ds. Wykroczeń m.st. Warszawy, gdzie skazano mnie na grzywnę w wysokości 10 tys. zł, a potem wypuszczono. Nic nie wiedziałem o losie Rafała i Tadeusza. Tego dnia wróciłem pociągiem do Lublina. Tadeusza nie było w akademiku, Rafała nie odnalazłem także na jego stacji. Nazajutrz okazało się, że Rafał został podobnie jak ja skazany przez kolegium na grzywnę i wrócił do Lublina, Tadeusza Nowaka natomiast internowano. Dlaczego go tak potraktowano? Okazało się, że ma w dowodzie osobistym pieczętkę zatrudnienia – Biuro Interwencji NSZZ „S” w Gdańsku, gdzie był zatrudniony do 13 grudnia 1981 r.; postanowiono więc internować go w Białogórze. Po niecałym miesiącu pobytu w ośrodku dla internowanych został zwolniony.

Nasze „nieszczęście” wywołało bardzo pozytywną reakcję środowiska studenckiego KUL. Ponieważ sumy 10 tys. i 12 tys., na jakie skazało nas kolegium, były niemałe, żeby nas wspomóc, zrobiono zbiórkę wśród braci studenckiej. Jak mi się wydaje, zebrano niemal całe kwoty na poczet zapłaty. Nie pamiętam już kto, ale zdaje się ktoś z kręgu pracowników uczelni podpowiedział nam, żebyśmy w sprawie tych kar pieniężnych zwrócili się do Prymasowskiego Komitetu Pomocy Internowanym i Więzionym za Przekonania, jaki działał przy kościele św. Marcina w Warszawie. Sprawa została szybko i sprawnie załatwiona. Pamiętam wizytę w tym Komitecie. Mnóstwo ludzi, głównie represjonowanych lub rodziny represjonowanych, mnóstwo paczek stojących na korytarzach i sympatyczni, sprawni ludzie, którzy po złożeniu przez mnie stosownego oświadczenia i dokumentów kolegium ds. wykroczeń wypłacili mi pieniądze, jakie wcześniej musiałem oddać peerelowi. Po powrocie do Lublina pieniądze te przekazałem władzom uczelni z przeznaczeniem na kolejne środki interwencyjne, ponieważ moja kara grzywny została już wcześniej pokryta ze wspomnianej zbiórki studenckiej.

Po 1983 r. manifestacje uliczne zamierały. Wiedzieliśmy, że szybko z „komuną” nie wygramy i trzeba być przygotowanym na długą pracę i walkę z systemem. Wyjątkiem był czas po porwaniu i zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki. Wówczas nie odbywały się uliczne manifestacje, ale kościoły były wypełnione modlącymi się ludźmi. Zwłaszcza kościół jezuicki św. Piotra – znajdujący się w samym centrum miasta przy ul. Królewskiej – był wypełniony wiernymi, bo tam modlitwy trwały przez cały czas, najpierw w intencji uwolnienia ks. Jerzego, a po ogłoszeniu informacji o jego porwaniu i bestialskiej śmierci, o spokój duszy i wolność ojczyzny.

Kolportaż

Niemal od początku studiów wszedłem w działalność kolporterską tzw. drugiego obiegu wydawnictw podziemnych. Właściwie każdy wyjazd do domu równał się wyprawie z wypełnionym plecakiem. „Bibułę” otrzymywałem od Piotra Adamowicza i dostarczałem w umówione miejsce w Gdańsku. Zazwyczaj tak planowałem przyjazd, żeby wypadał w ciągu dnia, kiedy po ulicach kręciło się wiele osób. Kiedyś jednak musiałem tak przyjechać, że wylądowałem w swoim rodzinnym Pruszczu Gdańskim (10 km od Gdańska) grubo po północy. Jak zwykle miałem ze sobą plecak. Szedłem pustą ulicą i nagle pojawiła się niebieska „suka”, czyli milicyjna nyska. Jechała w tę samą stronę, w którą ja zmierzałem. Kiedy mnie dostrzegli, zrobili szybki zwrot i podjechali do mnie. Dokumenty, co robię, co mam w plecaku, proszę go otworzyć. Nie pamiętam, czy to był przypadek, czy też pomny późnej pory powrotu tym razem plecak miałem wyjątkowo pusty. Ucieszyłem się, że nie dałem się złapać; na przyszłość jednak postanowiłem jeszcze bardziej zwiększyć swoją kurierską czujność.

Pamiętam też inne zdarzenie. W 1984 r. poznałem swoją przyszłą żonę. Ponieważ mieszkała niemal w samym centrum Gdańska, stosunkowo blisko dworca PKP, nieraz zdarzało mi

się przychodzić do niej z wypełnionym plecakiem, żeby nie wędrować z takim bagażem za wiele po mieście. Przyszły teść, nie zaglądając do środka moich ekwipaży, miał kiedyś powiedzieć do swojej córki, a mojej narzeczonej: niech Adam będzie bardziej ostrożny z tymi swoimi „towarami”, bo to się może źle skończyć. A nie był człowiekiem zaangażowanym w jakiegokolwiek działania opozycyjne, choć z drugiej strony z pewnością nie sympatyzował z ówczesnym reżimem. To zdarzenie pokazuje, że wiele osób zdawało



Redaktorzy pisma „Varia” – Adam Hlebowicz i Mirosław Filipowicz, Wrocław 1984 r.

sobie sprawę z tego, czym zajmuje się młode pokolenie, co naprawdę nosimy w swoich bagażach, i w jakiś cichy sposób sprzyjało takim działaniom.

Tymczasem w akademiku przy ul. Sławińskiego 8 życie kolporterskie kwitło. Na poszczególnych piętrach, w kilku przynajmniej pokojach można było kupić czy zdobyć „bibułę” albo się nią wymienić. Takimi pokojami były z pewnością nasz wspólny z Piotrem Adamowiczem, pokój Tadeusza Nowaka, potem także pokój młodszego od nas studenta polonistyki Jerzego Wójcika, dziś redaktora „Gazety Wyborczej”. Z racji studiowania historii pojedyncze egzemplarze „bibuły” mieli z pewnością wszyscy studenci tego kierunku. Mimo naszych obaw SB nigdy nie zdecydowała się wkroczyć na teren akademika i przeprowadzić rewizji.

Piotr Adamowicz miał dobre kontakty ze środowiskiem krakowskim. Czasami, dość rzadko, przyjeżdżał do nas stamtąd człowiek o pseudonimie „Albert”. To od niego dostawaliśmy regularnie pisma o nazwie „Promieniści”, „Arka”, a także publikacje Oficyny Literackiej. Te ostatnie wyróżniały się na rynku podziemnym starannością wydania, powagą tytułów i autorów oraz liczbą wydań. Któregoś razu Piotr wydobyl skądś nierozprowadzone wydanie książki Dominique de Roux *Rozmowy z Witoldem Gombrowiczem*. Przywiózł do akademika dużo egzemplarzy tej książki, co najmniej kilkaset. Pamiętam, że dość długo ją kolportowaliśmy, trwało to kilka miesięcy¹.

Innym źródłem pozyskiwania „bibuły” był nasz kolega z roku Piotr Kozicki. Starszy brat Piotra – Zygmunt, związany ze środowiskiem lubelskich „Spotkań” – był internowany w stanie wojennym, a po zwolnieniu został wydawcą i drukarzem wydawnictw podziemnych. Piotr był kolporterem i rozprowadzał bardzo wiele (pod względem liczby tytułów) publikacji. Nie wiem, iloma egzemplarzami poszczególnych tytułów dysponował, bo zazwyczaj przekazywał

¹ AIPN Lu, 020/806, SOS krypt. „Varia”, Notatka służbowa, 21 XI 1984 r., k. 1. TW „Kazimierz” stwierdza: „Nie zauważyłem, aby Adamowicz i Hlebowicz zajmowali się sprzedażą lub rozdawali podziemne wydawnictwa”. Wniosek jest taki, że albo TW „Kazimierz” nie był bardzo gorliwym informatorem, wiedząc o tym, co naprawdę robiliśmy, albo wyjątkowo nieorientowanym.

mi je na uczelni. Wiele z nich braliśmy w komis i finansowo rozliczaliśmy się zazwyczaj po dostarczeniu „bibuły” we właściwe miejsce.

Wśród działań kolporterskich wymienić też należy akcje ulotkowe. Akcje te nasilały się zwłaszcza przed wyborami i jakimiś znaczącymi wydarzeniami, jak wizyty papieskie w Polsce w 1983 r. i 1987 r. Roznosiliśmy ulotki i gazetki „podziemne” po lubelskich kościołach, czyniąc to na tyle dyskretnie, żeby nas nikt nie widział. Najbardziej spektakularną akcją, jaką przeprowadziliśmy wspólnie z Piotrem Adamowiczem, było rozmieszczenie kilku tysięcy naklejek przed wyborami do Sejmu PRL w 1985 r. Piotr otrzymał z Zachodu – jeśli dobrze pamiętam, przez środowisko „Spotkań” – kilkanaście zwojów naklejek samoprzylepnych, na których w formie telegramu pocztowego zawarta była informacja – „nie idę na wybory”. Naklejka była wydrukowana na błyszczącym papierze, wielokolorowa. W sierpniowym PRL taka nowoczesna forma drukarska nie była wówczas znana na większą skalę. Naklejka nie była duża, łatwa w obsłudze – dobrze i skutecznie naklejała się na każdą powierzchnię, trzeba było jednak każdy osobny egzemplarz umieścić we właściwym miejscu. Doszliśmy do przekonania, że obejdziemy bloki mieszkalne w nowych dzielnicach Lublina (Czechów, Rury, Kalinowszczyzna), gdzie mieszka najwięcej osób i gdzie skuteczność takiej akcji powinna być największa. Oczywiście, robiliśmy to nocą, jeden stał na czatach i obserwował, czy nikt się nie zbliża, drugi naklejał. Nie umieszczaliśmy naklejek na drzwiach lokatorów, bo w razie ich nieusunięcia mogliby mieć kłopoty, ale na drzwiach wejściowych do klatek schodowych, na tablicach z ogłoszeniami, na wejściach do piwnic. Obawialiśmy się, czy w związku z referendum i spodziewaną akcją propagandową opozycji SB nie zwiększy liczby tajniaków, ale nic takiego się nie stało. W ciągu kilku nocy udało się nam rozwiesić mnóstwo naklejek. Klej był dobrej jakości, widzieliśmy potem, jak ciężko było je zrywać właściwym służbom. Była to bodaj najbardziej udana nasza akcja propagandowa w omawianym okresie.

Pielgrzymki papieskie

W czasie naszych studiów Jan Paweł II dwukrotnie przyjeżdżał do Polski. Początkowo wizyta Ojca Świętego zaplanowana była na rok 1982, z uwagi na jubileusz trzechsetlecia obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Władze jednak, pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego, bardzo obawiały się tej wizyty i ostatecznie do niej nie dopuściły. Na Jasnej Górze w czasie uroczystości sierpniowych stał pusty tron papieski. Do przyjazdu papieża doszło rok później, w czerwcu 1983 r. Sesja egzaminacyjna na KUL została przerwana i kto mógł, ruszał do Częstochowy, bo tam zostało zaplanowane spotkanie z młodzieżą. Jechaliśmy nocą, ogromna rzesza braci kulowskiej, połączona bez względu na rocznik i kierunek studiów. Mielśmy ze sobą stosowne transparenty, które mogliśmy ujawnić dopiero w Częstochowie. Słynne „jestem, pamiętam, czuwam” wypowiedziane wtedy do nas przez Ojca Świętego doskonale oddawało nasz nastrój. Długo w nocy staliśmy pod oknami klasztoru jasnogórskiego i wywoływaliśmy jego imię, czualiśmy.

Cztery lata później nastroje w Polsce były bardzo ostudzone. Działalność podziemna owszem trwała, ale nie było w niej już tej siły co w pierwszych miesiącach stanu wojennego. Coraz więcej osób, także z naszego środowiska, myślało o wyjeździe za granicę i tam ułożeniu sobie życia. Co nam powie papież i jak nas młodych zachęci do aktywności, do działania tu i teraz?

Najpierw była wizyta w Lublinie i spotkanie z Janem Pawłem II na jego i naszej uczelni. Niezapomniane chwile. Kulowski dziedziniec był wypełniony po brzegi, i my w środku, dumni, że możemy się z nim spotkać tak blisko. Tu nie były potrzebne żadne transparenty ani okrzyki, byliśmy u siebie i on był u siebie. Atmosfera była ciepła, niemal familijna.

Fot. ze zbiorów autora



Studenci II roku historii KUL na wycieczce naukowej we Wrocławiu, od lewej Adam Hlebowicz i Mirosław Filipowicz – redaktorzy pisma „Varia”, Stefan Tołwiński, jeden z autorów „Variów”, oraz ich koleżanka z roku Barbara Krysztofak

Żeby zdążyć do Gdyni i Gdańska na kolejne spotkanie z namiestnikiem Chrystusa na ziemi, musiałem jechać całą noc pociągiem. W Gdyni był początek katechezy o „Solidarności”. Na drugi dzień spotkanie z młodzieżą na Westerplatte. Mimo ograniczonej liczby dopuszczonych do spotkania (władze określiły ją na dwadzieścia tysięcy) była też delegacja kulowska, z naszym duszpasterstwem akademickim na czele. Był o. Jerzy Świerkowski, jezuita, nasz dobry duch i przewodnik, był Zbyszek Skuza z mojego roku, najbardziej z nas zaangażowany w działalność kulowskiego Duszpasterstwa Akademickiego. Mieli ze sobą wielki transparent określający, skąd jesteśmy. Widać nas. Padły słowa: „każdy ma swoje Westerplatte, wy także”. To był ten klucz, ta odpowiedź na nasze wątpliwości wobec przyszłości w ojczyźnie, rządzonej przez taki system.

I wreszcie popołudnie. Gdańska Zaspą. Tego się nikt nie spodziewał. Takich tłumów. Ludzie są dobrze przygotowani. Kiedy pojawia się papież, jak z podziemi wyrastają nad głowami setki, tysiące transparentów z jednym słowem – „Solidarność”. Ale co nam powie papież? Czy ta idea, idea solidarności już się nie przeżyła, nie została zniszczona przez WRON i generała, i należy o niej zapomnieć? Odpowiedź przychodzi bardzo szybko. „Nie ma wolności bez solidarności” – mówi do miliona zgromadzonych Jan Paweł II. To było najważniejsze spotkanie polskiego papieża z rodakami w czasie tej pielgrzymki. Tak jak w roku 1979 fraza: „niech zstąpi Duch Święty i odnowi oblicze ziemi, tej ziemi” zaowocowała Sierpniem ‘80, tak prawda: „nie ma wolności bez solidarności” ukazała się w pełnym blasku w maju i sierpniu 1988 r., doprowadzając w końcu do krachu systemu komunistycznego w Polsce i w Europie.

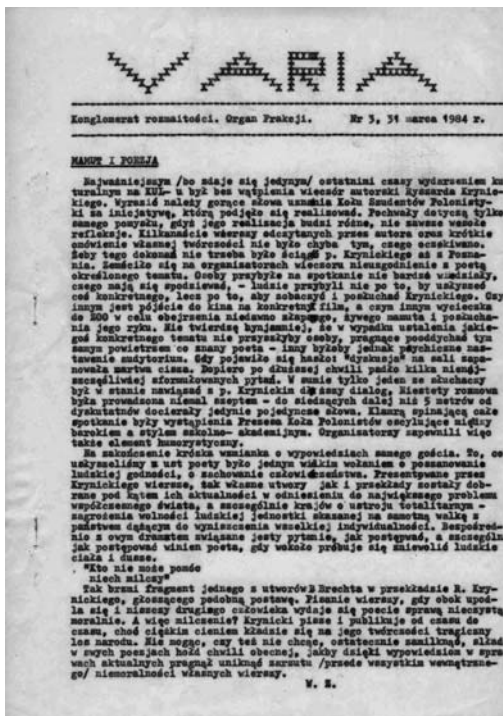
Po zakończonej Mszy św. na Zaspie sformowała się potężna manifestacja, która podążyła do centrum miasta. Kiedy dochodziliśmy do Wrzeszcza, drogę zagroził nam kordon ZOMO. Nie wierzyliśmy, że mogą nas w takim dniu zaatakować, dlatego zaczęliśmy wołać:

„pokojowa manifestacja”, „puśćcie nas”. Nic z tego, poleciały w naszą stronę petardy i gazy łzawiące. Młodszy, bardziej radykalni chwycili za kamienie, doszło do zwarcia. Gdzieś w ferworze starć zginął mi z oczu ks. Joachim Giela, mój kolega z KUL, Ślązak, historyk. Na szczęście nie trafił w ręce SB lub ZOMO i po kilku godzinach odnaleźliśmy się u mnie w domu.

„Varia”

Na drugim roku studiów, kiedy już wystarczająco dobrze się poznaliśmy, dojrzała w nas myśl, żeby podjąć próbę wydania własnego pisma. Inicjatorami byli Mirosław Filipowicz (obecnie profesor KUL) i ja. Środki były ograniczone – maszyna do pisania, którą dysponował Mirek, cudem też udawało się nam zdobywać papier, który wtedy był reglamentowany i pod ścisłą kontrolą władz państwowych. Celem pisma, które nazwaliśmy „Varia” („Rozmaitości”) – z pewnością pod wpływem niezapomnianych zajęć z łaciny z Marią Kosiarską – było opisywanie rzeczywistości wokół nas, naszego życia studenckiego, problemów i rozterek, wyborów ideowych, ciekawych lektur czy koncertów. Zaczęliśmy skromnie od trzech stron maszynopisu powielanego w kilkudziesięciu egzemplarzach w lutym 1984 r. Z czasem pismo rozrosło się do kilku stron, do wakacji udało się nam wydać osiem jego numerów. Wśród autorów tekstów, prócz nas redaktorów, byli koledzy z roku: Anna Rybicka, Piotr Adamowicz, Witold Suder, Stefan Tołwiński, Wojciech Zajączkowski, z filozofii Ryszard Mirek. Pismo było oczywiście darmowe, rozprowadzaliśmy je wśród naszych znajomych z różnych kierunków studiów.

Jak się okazało po latach, SB wiedziała o zamiarze wydawania pisma na podstawie dokumentów „W”, czyli kontroli korespondencji. Jeden z kolegów z roku był na tyle nieostrożny, że napisał o naszym planie wydawania pisma do swojej znajomej z Wrocławia. Założono nam sprawę, dość szybko i niemalże trafnie określając redaktorów pisma – Adamowicza, Filipowicza i Hlebowicza². Ciekawa jest charakterystyka środowiska studentów KUL sporządzona przy tej okazji przez oficera SB kpt. A. Bogusza: „W ciągu ostatnich dwóch lat na KUL przybywa z terenu całego kraju wiele osób, które w okresie działania »S« podejmowały próby nawiązania kontaktów bądź były sympatykami byleż »S«. Obecnie osoby te są studentami KUL, przebywają w środowisku, w którym wiele osób jest negatywnie ustosunkowanych do obecnej rzeczywistości”³.



² *Ibidem*, Wniosek o wszczęcie sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. „Varia”, 3 IV 1984 r., k. 1; *ibidem*, Notatka służbowa dotycząca ustaleń studentów KUL, 3 IV 1984 r., k. 1.

³ *Ibidem*, Plan przedsięwzięć operacyjnych do sprawy operacyjnego sprawdzenia kryptonim „Varia”, 5 IV 1984 r., k. 1.

Najciekawsza w sprawie o kryptonimie „Varia” jest końcowa konkluzja SB – z grudnia 1987 r., podpisana przez por. L. Delektę: „Kontrola operacyjna w ramach sprawy nie potwierdziła powodu założenia sprawy. Nie doszło do wydawania i kolportażu pisma pn. Varia”⁴. Doszedł do takiego wniosku mimo kilku lat śledztwa, założenia nam sprawy, kontroli naszej korespondencji przez wydział „W”, rozpracowywania nas i naszych znajomych. Oczywiście, nasze pisemko nie było niczym wielkim, kilka numerów po kilka kartek, produkowanych w nakładzie ok. 50 egzemplarzy. Może to nie wystawiać najlepszego świadectwa ówczesnej Służbie Bezpieczeństwa – mimo środków i zaangażowania sporych zespołów ludzkich nie dotarła do wydawanego pisma. Możliwy jest też inny scenariusz – wiedzieli, a nie ujawnili, oceniając jego zasięg na stosunkowo ograniczony do i tak „negatywnie ustosunkowanych do obecnej rzeczywistości”.

Koło Naukowe Historyków KUL

W latach osiemdziesiątych KUL był bardzo małą uczelnią, na wszystkich kierunkach studiowało ok. 3 tys. studentów. Ta sytuacja powodowała, że mniej więcej w połowie studiów znało się niemal wszystkich studentów – i tych starszych, i młodszych, ze swojego kierunku, wydziału, ale i pozostałych wydziałów. Sprzyjało takiej sytuacji z pewnością mieszkanie w akademiku, bo tam był pełny przegląd kierunków i roczników, a także panująca na KUL swoista moda na uczęszczanie na wykłady do ciekawych wykładowców. Do takich z pewnością należeli filozof o. prof. Albert Krąpiec; historyk starożytności doc. Edmund Zwolski; polonista prof. Czesław Zgorzelski. Każdy zresztą mógł wybrać, co najbardziej go interesowało. Chodzenie na te dodatkowe wykłady nie skutkowało żadnymi wpisami do indeksów czy innego rodzaju bonusami. Chodziło się na nie, bo były ciekawe i znacznie poszerzały nasze horyzonty myślowe.

Historia na KUL była kierunkiem stosunkowo licznym, zdecydowaną większość studentów stanowili panowie, na trzecim roku niemal wszystkie ważniejsze agendy życia studenckiego uczelni były „opanowane” przez nasz rok. Od samorządu studenckiego poczynając (KUL jako jedyna uczelnia w Polsce miał wówczas taki samorząd), przez prężne Duszpasterstwo Akademickie prowadzone przez ojców jezuitów, AZS, na Kole Naukowym Historyków KUL kończąc. W KN prezesem został nasz rocznikowy kolega Wojciech Zajączkowski (obecnie ambasador RP w Moskwie), ja natomiast jego zastępcą. Ponieważ już wtedy bardzo mocno interesowaliśmy się Wschodem (ZSRS i jego satelitami), postanowiliśmy nawiązać kontakt ze środowiskami polskimi na Litwie. Przez Józefa Adamskiego, pracującego w Wydawnictwie KUL, i pośrednio Tadeusza Goniewicza trafiliśmy na grupę młodych ludzi z Trok na Litwie, którym systematycznie wysyłaliśmy polskie podręczniki i książki. Innym polem naszej aktywności było organizowanie koncertów w skali całej uczelni. Najbardziej spektakularne przykłady to zorganizowane w Wielkiej Auli KUL występy Przemysława Gintrowskiego i Zdzisława Łapińskiego oraz koncert Zespołu Reprezentacyjnego. W obu wypadkach aula była wypełniona ludźmi. Prowadziliśmy także działalność odczytową. Pamiętam spotkania z prof. Henrykiem Samsonowiczem i poetą Tomaszem Jastrunem.

Wielkim wydarzeniem na KUL, ale i w skali całej Polski, był koncert kanadyjskiej pieśniarki Joan Baez, który odbył się 19 listopada 1985 r. Była to zasługa Piotra Adamowicza, ponieważ Baez kilka dni wcześniej gościła w Gdańsku, u Lecha Wałęsy, i miała koncert w kościele

⁴ *Ibidem*, Wniosek o zakończenie (zaniechanie) sprawy operacyjnego sprawdzenia krypt. „Varia”, 14 XII 1987 r., k. 1–2.

św. Brygidy. Dała się namówić na kolejny występ, tym razem w Lublinie, w głównej auli, która nie była w stanie wszystkich pomieścić, więc ludzie stali na korytarzach, siedzieli na schodach, gdzie kto mógł. Wówczas, w trudnych latach osiemdziesiątych, takie gwiazdy nie pojawiały się w ogóle w Polsce. Dodatkowo Joan Baez znana była ze swoich nonkonformistycznych przekonań. Kiedyś wspólnie z Bobem Dylanem protestowała przeciw wojnie w Wietnamie, teraz była przeciwna reżimowi gen. Jaruzelskiego. W trakcie koncertu zaśpiewała m.in. piosenkę poświęconą Leonidowi Breżniewowi, ówczesnemu I sekretarzowi KPZS, oczywiście głęboko ironiczną, co spotkało się z ogromnym aplauzem zebranej publiczności.

Ciekawą inicjatywą był zorganizowany przez redakcję warszawskiego miesięcznika „Powszechność i Praca” – wtedy jednego z nielicznych oficjalnych „naziemnych” wydawnictw katolickich i opozycyjnych zarazem – kurs dziennikarski dla studentów KUL. Przez kilka miesięcy uczęszczałem na niego razem z Wojtkiem Zajączkowskim, a naszymi wykładowcami byli członkowie redakcji „PiP”, m.in. Stanisława Domagalska, Elżbieta Hudon, Jacek Żakowski. Były to zajęcia nie tylko teoretyczne, ale i praktyczne. Pisaliśmy np. reportaż o naszej uczelni; najlepszy z nich, według oceny redakcji, został opublikowany na łamach miesięcznika. Notabene był to tekst Wojtka Zajączkowskiego.

Podobnym pomysłem był kurs edytorstwa prowadzony przez Redakcję Wydawnictw KUL. Z uwagi na nasze zaangażowanie w drugi obieg także w nim chętnie uczestniczyłem wspólnie z Piotrem Adamowiczem. Pamiętam, że wiele zajęć dosyć nas nużyło – wszystkie te gramatury papieru, czcionki itd. – ale dzielnie wytrzymaliśmy do końca i kurs ukończyliśmy.

Kadra i studenci

Należy podkreślić bardzo otwartą postawę naszej kadry profesorskiej. Z niektórymi z nich, np. Władysławem Bartoszewskim, Krzysztofem Kozłowskim, Tomaszem Strzemboszem, a z młodszych Edmundem Nebelskim i Henrykiem Wąsowiczem, toczyliśmy szczerze rozmowy i dyskusje na temat bieżącej sytuacji politycznej w kraju. Z ich strony nie było może zachęty do angażowania się w działalność opozycyjną, ale nie było też głosów przestrzegających: w co wy się chłopcy pakujecie?

Wśród osób angażujących się w działalność opozycyjną dominowali panowie, choć były wyjątki. W 1984 r. trafiła na KUL Anna Stawicka z Gdańska, najmłodszy więzień stanu wojennego (skazana na trzy lata więzienia jako siedemnastolatka), która potem odegrała istotną rolę w działalności podziemnej w Lublinie i strajkach studenckich 1988 r. Także na innych kierunkach czy wydziałach były panie mocno angażujące się w działalność opozycyjną, np. Bogumiła Berdychowska z polonistyki, z rocznika nam równoległego, z którą to polonistyką blisko współpracowaliśmy. Spośród polonistów wymienić należy Waldemara Gaspera, Tomasa Królaka czy Grzegorza Musielaka, z którymi współpracowaliśmy czy to przy działalności uczelnianej, czy też konspiracyjnej.

Z osób starszych od nas mieliśmy kontakt z środowiskiem lubelskich „Spotkań”, przede wszystkim Januszem Krupskim i Januszem Bazydłą, którzy w tym czasie byli już absolwentami uczelni. Pamiętam także spotkania w którymś z kościołów z Marianem Piłką, również absolwentem KUL, ale w tym czasie mieszkającym już poza Lublinem. Z młodszych roczników studentów historii KUL dość szybko i trwale nawiązałem kontakt z młodszymi o dwa lata Piotrami: Niwińskim (obecnie profesorem UG) i Semką (dzisiaj znanym publicystą).

Z historii mniej przyjemnych szokiem dla nas był udział ówczesnego rektora KUL bp. Piotra Hemperka w wyborach do Sejmu PRL 13 października 1985 r. Opozycja ogłosiła bojkot wyborów, my studenci angażowaliśmy się w akcje ulotkowe, a tu tymczasem nasz pryn-

cypał, duchowny, do tego biskup – poszedł na wybory. Potem odbywało się coś na kształt bojkotu rektora, ale nie przybrał on jakichś bardziej zorganizowanych form.

Praktycznie wszyscy studenci KUL byli poddani nadzorowi SB. Byliśmy traktowani, podobnie jak całe duchowieństwo, jako element podejrzany, niepewny, stąd też duże wysiłki bezpieki w pozyskaniu TW na KUL. Z tego, co udało mi się ustalić na podstawie akt SB, wynika, że żaden z naszych kolegów na roku nie był tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, byli nimi natomiast studenci innych kierunków („Kazimierz” i „Maria”). Do wielu studentów KUL przychodzili funkcjonariusze tych służb w czasie naszych wizyt w domach rodzinnych. U mnie byli w styczniu 1984 r., kiedy na drugim roku przyjechałem do domu na święta Bożego Narodzenia. Pewnego poranka zapukało do drzwi domu moich rodziców dwóch panów, przedstawili się, skąd są, i zaproponowali rozmowę. Odmówiłem, ale zaproponowałem herbatę, bo panowie się z tak daleka dla mnie trudzili. Wówczas esbecy zaferowali się, że mogą mnie zawieźć do Lublina swoim samochodem służbowym, nie będę się musiał męczyć podróżą koleją. Podziękowałem za tę przysługę i zamknąłem przed nimi drzwi⁵. Byłem niejako przygotowany na taką wizytę, „Małego konspiratora” czytaliśmy od deski do deski. Po powrocie do Lublina poinformowałem swoich kolegów o tej „przygodzie”. Takie wizyty wśród studentów KUL były rutyną, mieliśmy je wszyscy, traktowano nas podobnie jak alumnów seminariów duchownych. Czy wszystkie zakończyły się niepowodzeniem ze strony SB? Z pewnością nie.

Swoistym opisem stosunku władz komunistycznych do KUL był artykuł *KUL – gniazdo reakcji*, zamieszczony w reżimowym tygodniku „Tu i Teraz”. Był to dość szczegółowy opis działań opozycyjnych na uczelni, wsparty oczywiście odpowiednią argumentacją ideologiczną.

Podsumowanie

Realnie rzecz biorąc, w bieżącą działalność opozycyjną na KUL angażowało się 10–20 proc. ogółu studentów. Ale to chyba jest normalne. W AK w czasie II wojny światowej zaangażowany był 1 proc. społeczeństwa polskiego, a i tak mieliśmy największą na świecie armię podziemną. Trzeba przy tym zaznaczyć, że poglądy opozycyjne w stosunku do ówczesnych władz państwowych miał niemal komplet braci studenckiej. Oczywiście, byli tajni współpracownicy SB, ale oni z przyczyn oczywistych się nie ujawniali, natomiast nie pamiętam, żeby ktokolwiek wtedy publicznie bronił gen. Jaruzelskiego i jego współpracowników. W zachowanej w aktach SB charakterystyce mojej osoby pochodzącej z sierpnia 1985 r. ppor. L. Delekta napisał: „Figurant jest zdecydowanym przeciwnikiem obecnej rzeczywistości”, co generalnie dobrze oddawało zarówno stan rzeczy, jak i swoisty język, jakim posługiwali się funkcjonariusze służb specjalnych PRL⁶.

Dla mnie lata studiów na KUL to była naturalna kontynuacja tego, co wcześniej myślałem i robiłem; nie był to więc jakiś przełom w moim życiu. Na pewno jednak zawiązane kontakty, poznanie nowych środowisk i ludzi, także znanych autorytetów, wpłynęło na rozwój, sposób myślenia i decyzje o tym, co i gdzie będę robić po ukończeniu studiów.

⁵ *Ibidem*, Notatka służbowa, 9 I 1984 r., k. 1. Por. L. Budka z Wydziału IV WUSW w Lublinie stwierdził: „Na ewentualny kontakt w Lublinie zdecydowanie nie wyraził zgody, w związku z powyższym dalsza rozmowa nie miała racji bytu”.

⁶ *Ibidem*, Charakterystyka, dot. Hlebowicza Adama, s. Ryszarda, brak daty dziennej, sierpień 1985 r., k. 1.